Nr. 7 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 kwietnia 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 7:

Nr. 7 We Lwowie, 1 kwietnia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

P. T. Delegatom uprzejmie przypominamy, śpieszne nadsyłanie wykazów statystycznych ubitej zwierzyny, za rok od 1. marca 1930 do 28. lutego 1931.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

IV

Antylopy krowie i zebry (Ngondo na Mbidzi)

(Ciąg dalszy)

Nie da się zaprzeczyć, że tropienie wszelakiej zwierzyny w Afryce jest mozolne. Już sama spiekota nie usposabia dobrze do takiego poszukiwania; gdy się przytem uwzględni trudny teren — trawiska, kłujące krzewy, brak wody, a co gorsze, setki drobnych muszek, bąków, a także zjadliwych tse-tse, które ciągną za świeżym trupem — to nie dziwne, że wielu, zresztą dobrych myśliwych, rychło rezygnuje z takiego przedsięwzięcia, pozostawiając tę czynność w najlepszym razie — murzynom.

A jednak trzeba stwierdzić, że nigdy tyle przyjemności i zadowolenia z łowów się nie odniesie, jak właśnie wtedy, gdy po długich godzinach poszukiwań, wśród napięcia nerwów i woli, dochodzi się do pożądanego celu.

Z czasów mego pobytu w Afryce t. j. przed czterdziestu laty, mało kto z białych zadawał sobie trudu tropienia postrzałka, a tem mniej podejmowania świeżych tropów — celem podejścia zwierza w zakrytym terenie — o ile nie był to słoń lub nosorożec.

Cóż dopiero, gdy chodziło o marną zebrę, którą można było łatwo wypatrzeć na odkrytym stepie!..

To też trzeba było spytać takiego nemroda, co wie o tem lub owem zwierzęciu, na które polował, co wie o zebrach — to się przekonywało, że nie wie nic więcej ponadto, jaki ma wygląd.

Jeśli osobiście coś niecoś o zwierzynie afrykańskiej się dowiedziałem, to nie tylko od murzynów-myśliwych, ale z własnych spostrzeżeń podczas tropienia, co mi dawało także możność krytycznego oceniania wiadomości, od tych ludzi, zebranych.

Gdym już nabrał dostatecznie wprawy w rozróżnianiu i wypatrywaniu tropów a zarazem czujności, jaka jest nieodzowną przy podchodzeniu niewidzialnego zwierza, stałem się wielkim entuzjastą tego rodzaju polowania.

Dziś jeszcze — po tylu latach, jakie mię dzielą od owych wyczynów myśliwskich — gdy w myślach odtwarzam obrazy i epizody takich łowów, odczuwam znowu te same emocje i podniety. Jestem przekonany, że żaden

sukces, chociażby największy, nie potrafiłby się tak utrwalić w pamięci, gdyby mu nie towarzyszył szereg fragmentów uczuciowych, jakie się składają na „polowanie“ w myśliwskiem znaczeniu. Dla ilustracji, przytaczam tu jedno takie polowanie na zebrę — po tropie.

W okolicy naszej stacyjki Szamu (u ujścia Sziry), gdzie zazwyczaj spędzałem porę deszczową, miałem kilkakrotnie sposobność zapolować na zebry wśród najmniej sprzyjających warunków. Stałych zeber w pobliżu nie było, ze względu na przeważnie pagórkowaty teren. Ale w jednym roku pojawiły się dwa stada tych koników — w czasie największych ulew. Nie molestowane przez nikogo, pozostały tam aż do czasu palenia traw.

Kafrzy, którzy przechodzili ścieżką, wijącą się u podnóża pagórków, dostrzegli ich tropy i donieśli mi o tem.

Sprawdziłem zaraz ten fakt, przyczem przekonałem się, że jedno stadko — musiało dość regularnie schodzić z pagórków na równinę, jaka dzieliła pagórki od rzeki.

Równina była pokryta w tym czasie olbrzymią trawą, w której człowiek krył się wraz z głową. Pagórki zrzadka zalesione, tonęły również w trawach, nie były one jednak ani tak wysokie, ani tak gęste.

Widocznie, zebry korzystając z tego żywego parawanu, schodziły ukradkiem na równinę, do jakiegoś żerowiska lub poidła, prawdopodobnie nocą.

Z tego, co mi murzyni, mieszkający na równinie (osiedli tam właśnie w tym roku) opowiadali — zebry przed wschodem słońca szły już w góry, nikt ich bowiem jeszcze w ciągu dnia nie dostrzegł.

Dwukrotnie próbowałem pójść za świeżym tropem, podjętym z rana, ale natrafiwszy na pętle, jakie porobiły w ciągu wałęsania się wśród zarośli — zgubiłem trop, a zmoczony do nitki mokremi od deszczu trawami, co mi rozwiązanie owej zagadki pętlowej utrudniło — wracałem do domu rozczarowany.

Doczekałem się wreszcie chwili, że można było choć z grubsza — powypalać trawiska.

Aby nie wypłoszyć zeber z pagórków, gdzie może czuły się bezpieczne — podłożyłem ogień w czasie wiatru wiejącego ku równinie, zaczynając od ścieżki. Po kilku dniach, bo ogień nie bardzo się jeszcze traw chwytał — miałem najsuchszą część równiny odczyszczoną, niestety z widokiem na chaty murzyńskie, co nie wróżyło powodzenia dla moich zamiarów.

Teraz dzień w dzień — jeszcze przed wschodem słońca — tam się udawałem, niestety bezowocnie; zebry przez ten czas nie pokazały się na dolinie.

Aż pewnego dnia — wybrawszy się dość późno — odkryłem świeże tropy. Poszły w pagórki.

Wiatr był dobry — podjąłem trop.

W pagórkach były trawy już więcej połamane i zdeptane —- łatwiej więc było trop utrzymać. Pilnowałem się mimo to, aby niepotrzebnie nie zbaczać z właściwego kierunku — natrafiwszy na pętlę — w czem pomagał mi doskonale jeden z mieszkańców osiedla na równinie, który przyłączył się do nas.

Godzina za godziną mijały, a my ciągle w drodze. Cicho bez szelestu ciągnęliśmy wśród traw i krzaków. Tu się stanęło, aby nadsłuchiwać, tam, aby przepatrzyć dolinkę lub stok górski, ciągle bacząc na wiatr, ciągle w naprężeniu i w pogotowiu.

A zebry wędrowały.

Znowu w drodze. Grunt coraz bardziej kamienisty, trzeba stawiać kroki bardzo ostrożnie.

Jest wreszcie — dymiący jeszcze pomiot. Uwaga skupiona jeszcze bardziej. Nozdrza chwytają coraz wyraźniej dolatującą skądś woń wypocin tych koników, bo słońce pali już nie na żarty.

Niebawem chwyta oko — poruszenie jakieś w trawach na przeciwległym pagórku.

Wytężamy wzrok. Bez słowa — wskazuje mi coś murzyn, — wyciągniętą ręką. Wśród traw mignęła głowa zebry. Po chwili znów coś mignęło. Widzę czarne plamy uszu, przesuwających się w tem samem miejscu innych sztuk...

Trwa to zaledwie kilkanaście sekund — potem cisza. Stanęły w bezruchu trawy — nic się już nie rusza. Czyżby poszły dalej?

Ale nie; — doleciał nagle odgłos uderzenia kopytem — jakby o kamień... Potem parsknięcie i kwik, jakby ukąszonego, lub kopniętego konia.

Stoją. Jesteśmy od nich w oddaleniu zaledwie osiemdziesięciu — do stu kroków — ale ich nie widzimy...

Wiatr coraz słabszy — trzeba coś zadecydować...

Więc zostawiam moich ludzi tam, gdzieśmy przystanęli — sam zaś zaczynam się podkradać.

Obłożywszy trochę, aby mieć wiatr naprost siebie — podłażę pod pagórek — i wychylając się nieznacznym ruchem na jego brzeg — wyprostowuję się. Wyłupiam oczy — patrzę w tę i tamtą stronę — nic nie widzę, bo trawy przeszkadzają, ale czuję ostrą woń końską, jakbym był w stajni.

Są gdzieś bardzo blisko.

Zgarbiony — z palcem na cynglu — wsuwam się w trawy — dalej... Dalej... Wreszcie „stop“ — Mam zebry na dwadzieścia kroków przed sobą.

Zniżyłem jeszcze bardziej głowę; kapelusz kładę na ziemi — a wychylając się nieznacznie, chcę wypatrzyć sztukę, do którejbym mógł strzelić.

A zebry kręcą się w kółku, ukazując mi ponad trawami, to uszy, to część łba, a czasem karku.

Nie mam strzału, — chyba w łeb, ale obawiam się pudła, mimo małej odległości, bo jestem zemocjowany i zgoniony — ręka niepewna...

W tym samym czasie dochodzi mię szmer jakiś w trawach poza memi plecami. Oglądam się. To moi ludzie — nie mogąc doczekać się strzału — podsuwają się ku mnie.

Ale równocześnie słyszę szelest traw przedemną — potem tupot kopyt...

...Zebry umknęły.

Z wyrzutem popatrzyłem na murzynów. — Bez słowa gniewu, który mię dławi — posuwam się naprzód.

I nagle ze zdziwieniem wkraczam na czysty placyk —

na miejsce gdzie dopieroco tak swobodnie kręciły się zebry.

Prawdziwa arena!

Wśród traw, sięgających po ramiona i kilku większych drzew już — bezlistnych — dokładnie wydeptane koło o średnicy pięciu do sześciu kroków. Ziemia skopana kopytami — pyłu na kilka centymetrów grubości.

Nie przypadkowe to — miejsce postoju; tylko częste odwiedziny tego miejsca mogły tak oczyścić tę arenę. Gnoju na boisku — bardzo nie wiele.

Czyżby zebry znały się na higjenie?...

Nie czas jednak na rozmyślanie. Słońce doskwiera coraz bardziej — a ja niechcę dać za wygranę. Ciągnę ostrożnie dalej.

W pół godziny później — dopadam stado. Są na drugiej tego rodzaju arenie. Widzimy to dobrze, bo jesteśmy na grzbiecie wyższego nieco pagórka, — a one w dole.

Spuszczam się w parów — zebry uciekają. Słyszę łupot kopyt po drugiej stronie wzniesienia, na którem się zatrzymały. Z taktu uderzeń wnioskuję, że oddalają się bez zbytniego pospiechu.

Przebiegam szybko parów — i staję wnet na opuszczonej przez nich arenie. Stąd widzę — jak wolno idą przeciwległą — dość stromą ścianą wzniesienia. Defilują przedemną na odległość — może stu kroków. Idą jedna za drugą. Traw mało — mam ich ciała nie tylko dobrze odsłonięte, ale także w doskonałem oświetleniu.

Na przodzie pyszna sztuka — pewnie przewodnik.

Strzelam — mierząc w komorę.

Po strzale przykląkł na przednie nogi — zrywa się jednak momentalnie — i kulejąc, wdziera się na grzbiet pagórka, gdzie wystraszona strzałem reszta zeber — już się przed nim znalazła. Zanim zdołałem zmienić nabój — znikły mi z oczu.

Porzucam trop i pędzę co tchu, bo słyszę, jak zebry gonią w przyległym parowie. Chcę im przeciąć drogę.

Ledwie je ujrzałem — już i one mię dostrzegły i przyspieszają biegu; raniona sztuka na tyle nie może nadążyć.

Jestem teraz pewny, że to przewodnik stada, bo gdy raz i drugi potknął się, i na chwilę przystanął, stanęły i inne sztuki, oglądając się za nim.

Podbiegam znowu. Z pagórka na pagórek, z doliny w dolinę — podganiam tylko zwierzęta, widocznie już wyczerpane, ale nie dające się zejść na przyzwoity strzał.

Południe minęło, a gonitwa trwa dalej. Jestem już zmachany, oblany potem, a przytem spragniony — a zebry ciągle dość — a właściwie za daleko odemnie.

W czasie tego pościgu ani się spostrzegłem, że znalazłem się znowu na tem samem wzniesieniu, skąd zacząłem je tropić. Obkołowaliśmy — Bóg raczył wiedzieć — jak wielką przestrzeń...

Gdyśmy schodzili stokiem — zebry były już w dole — lekkim galopem puszczając się poprzez wypaloną równinę.

Już byłem pewny, że mi ujdą, skoro tylko dostaną się do gęstych traw nadbrzeżnych — gdy niespodzianie raniona sztuka staje — słania się, a po chwili kładzie się na ziemi. Ten niespodziany wypadek zatrzymuje resztę. Stają w pewnem oddaleniu, łby zwróciwszy ku ubezwładnemu towarzyszowi.

A z pobliskich chat wypadają — wśród głośnych pisków — i wykrzykników — mężczyźni, kobiety i dzieci. Jakiś najbardziej rozkrzyczany czarny dryblas z siekierką w ręku — pędzi do leżącej zebry.

Wołam na niego — wołają moi chłopcy, aby się zatrzymał, bo wypłoszy zebrę — — — na nic! — — nie słyszy. Dobiega do niej i stara się zadać jej cios siekierą. Nie udaje mu się sztuka, bo zebra raz w raz wyciąga szyję — i chce go chwycić zębami...

W tem — ruch błyskawiczny — i siekierka, dobrze skierowana tkwi w czaszce zwierzęcia...

I oto — zdumionym moim oczom przedstawia się, niezapomniane widowisko: zebra podnosi się na wszystkie cztery nogi!...

Jestem już blisko. Zebrą wstrząsa jakiś dreszcz, nogi się trzęsą, ale stara się utrzymać w postawie stojącej.

Strzałem poza ucho, ukróciłem jej męki.

Był to stary ogier, doskonale znaczony — przepyszny okaz typu środkowo-wschodniej Afryki.

Gdym dawał dyspozycje — jak mają ściągać skórę (ewentualnie do wypchania) — jeszcze towarzysze i towarzyszki nieboszczyka stały pod pagórkiem, aby po długiem, bezowocnem oczekiwaniu na swego przewodnika — powoli, ze spuszczonemi łbami zanurzyć się w zarośla.

— — — — — — — — — —

Biały myśliwy, gdy po raz pierwszy znajdzie się na spalonym, szarym stepie afrykańskim, nie łatwo orjentuje się w dystansach, na jakie mu przychodzi dać strzał do zwierzyny, zwłaszcza, że przeważnie strzelać musi na większe odległości. Przyczyną tego jest intenzywne oświetlenie słoneczne, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni, potem ilość pyłu stepowego, jaka wibruje w powietrzu, a w końcu — ten powszechny dar mimnetyzmu zwierzęcego, który każe zwierzynie takie wyszukiwać na danym terenie pozycje, by strona podchodna, — tj. pod wiatr — możliwie była ocienioną. Gdy światło pada z góry, to znów doznajemy innego złudzenia optycznego. Zwierz wydaje się wtedy smuklejszy, a więc trudniejszy do trafienia, a to z powodu bardziej oświetlonej wierzchniej połowy ciała a ścienionej strony spodniej, przyczem należy wiedzieć, że ta część górna zazwyczaj ciemniejsza, w tem oświetleniu, rozpływa się niejako, nie dając oku wyraźnych konturów.

A zebra? — Biała i czarna! — Przecież te dwie zasadnicze jej szaty, wprost kłócą się ze sobą!... Czyżby i ona tak wzrok mamiła?...

I ona nie jest wyjęta z pod ogólnego prawa. Przy znaczniejszej odległości oba kolory zlewają się ze sobą, tak, że nawet na tle jaśniejszem — widzimy tylko szarą

plamę. Dlatego w polowaniu na stepach dobre szkła są zawsze koniecznością.

Zebra żywi się przedewszystkiem roślinami trawiastemi, a w okolicach, gdzie znajdują się dobre pastwiska z soczystą trawą, można ją widzieć w każdej porze dnia żerującą — o ile to jest na bezludziu. Pić musi — jak się zdaje przynajmniej raz na dzień, z tego też względu jest zawsze gdzieś w pobliżu wody. Na poidła wybiera byle jakie bajoro, byle było odsłonięte — prawdopodobnie z obawy zasadzki ze strony lwów, które wśród nich — jak już wspomniałem — pobierają poważną dziesięcinę. Niemniej Kafrzy, dla których mięso zebry jest delikatesem, chętnie na nie polują. Szkody jednak ze strony tubylców są nieznaczne, wobec szkód, jakie ongiś poczyniono w Afryce południowej, gdy konno polowali na zebrę dla jej niezwykłej skóry. Tam też zebra została prawie wytępioną, a najładniejszy tamtejszy konik pasiasty — Mountain*) — od pięćdziesięciu lat już nie istnieje.

— — — — — — — — — —

Jeżeli zebra stanowi niepowszednią atrakcję dla myśliwego-sportsmena, i z tego względu zasługuje na rozumną ochronę (już od szeregu lat przez rozmaite państwa europejskie w Afryce stosowaną), to jeszcze większą opieką winna być otoczona dla jej właściwości, końskich, które mogą z niej zrobić pożyteczne zwierzę domowe, — specjalnie dla tamtejszego klimatu.

Wprawdzie dawniejsze próby udomowienia tego konika i jego tresury, dawały tylko połowiczne rezultaty, to od niedawna istniejące w środkowej Afryce umyślne fermy dla obłaskawienia zeber poszczycić się mogą niezwykłemi sukcesami.

Przedewszystkiem przekonano się, że tylko ów największy typ zebry, który nazwałbym Equis tigrinus, daje najlepszy materjał dla celów pociągowych i do jazdy wierzchem — tylko nie okazy stare, złowione w zasieki i par force ćwiczone, ale ich potomstwo, wychowane w otoczeniu spokojnych koni, przy których zatraca swoją wrodzoną dzikość i złe narowy.

Także z krzyżowania z koniem domowym uzyskano ładne okazy Zebroidów — silne, wytrwałe i spokojne zwierzęta, a co więcej — odporne na ukąszenie muchy tse-tse, od którego giną nasze domowe stworzenia.

Ilość zeber, jaka jeszcze dziś istnieje w Afryce — trudną jest do określenia; skoro jednak Niemcy, specjaliści od wszelkiej statystyki — obliczali przed wojną dla swej kolonji Ost-Afrika — kontyngent zeber na sto tysięcy, — to w tym samym czasie musiało być tych zwierząt na całym kontynencie — co najmniej miljon.

O ile od tego czasu liczba ta spadła, a spadła bezwarunkowo, nie można wiedzieć, ale to pewne, że ani lwy, ani czarni mieszkańcy Afryki, ani biali myśliwi nie przyczynili się tak bardzo do zmniejszenia się ilości zeber w ostatnich czasach, co postępująca z nieubłaganą konsekwencją cywilizacja, ścieśniająca coraz bardziej obszerne stepy i sawanny tamtejsze swojemi drogami, kolejami i ruchliwemi osiedlami ludzkiemi, wśród czego te dzieci szerokich przestrzeni i swobody — w dzikim stanie pomieścić się nie mogą.

Od zupełnej zagłady tego wspaniałego zwierzęcia — uchronić może jedynie — jego udomowienie.

(C. d. n.)

*) Zebra górska.



JANUSZ DOMANIEWSKI

Bengt Berg

Wielki poeta i niewątpliwie tęgi uczony, artysta w całej pełni swej bogatej, wrażliwej na piękno przyrody duszy. Śmiało rzec można twórca nowego kierunku w literaturze, a jeśli nawet nie, to pionier, nie mający na tem polu równych sobie poprzedników.

Bengt Berg jest dzieckiem północy. Wydała go ta sama ziemia, na której urodził się Liljenfors. Nie jest skojarzenie tych dwóch nazwisk przypadkowem. Gdy czyta się książki Berga — te o przyrodzie północy — to mimowoli stają przed oczyma obrazy Liljenforsa. Twórczość tych dwu ludzi uzupełnia się nawzajem. Obaj jednakowo głęboko potrafią wejrzeć w tajemnice surowej przyrody Skandynawji. Co genjalny malarz wyczarował na swych płótnach, to Berg odtwarza na kliszach i komentuje słowem, którego jest mistrzem niepowszednim. Umie opowiedzieć o tem, co widział. Opowiada po prostu, swobodnie od niechcenia jakby. A jednak niewyszukane słowa układają się w formę wytworną, porywającą.

Oto nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa opowieść o ptaku, który w odludnem pustkowiu górskich szczytów Laponji zawarł przyjaźń z trzema wędrowcami.

Ja byłem jednym z tych wędrowców, drugi był z pochodzenia Finnem, trzeci Lapończykiem. Finn miał konia, na którym przewoziliśmy rzeczy. A ptakiem, bohaterem opowieści, była siewka.

Ptak ten zamieszkiwał Pidjastjokko, wysoką górę, w której wnętrzu tyle rud spoczywa, że już wczesną

wiosną, ściągają one do jej szczytu kłębiące się w letniej nawałnicy chmury, gdy jeziora u stóp góry kryją się jeszcze pod powłoką lodu. Wznosi się ta góra na południe od doliny Kalixtal, o dwa dzienne przemarsze na wschód od norweskiej granicy.

Jeżeli kiedyś, czytelniku, wtargniesz w królestwo najwyższych szczytów górskich, a za przewodnika mieć będziesz Lapończyka, rozumiejącego język, którym do niego przemawiasz, spytaj go o Lahol.

Patrz, jak na to imię oczy mu zabłysły. Patrz, jak z jego twarzy, zgrubiałej na wichrze i słocie, znika wyraz zobojętnienia, cofając się przed uśmiechem i szczerym podziwem dla ciebie, który coś wie o Lahol.

Oto próbka prozy Berga w tłumaczeniu Czekalskiego.

Do jakiej „literatury" zaliczyć książki Berga, naukowej czy pięknej? Nie wiem i nie czuję potrzeby głębiej się nad tem zastanawiać. Są to przedziwne opowiadania i poematy pisane prozą. Tematem ich są zwierzęta, a przedewszystkiem ptaki. Nie są one wytworem fantazji, są tylko odtworzeniem tego, co autor widział i przeżył. A jednak książki te piękne są jak bajki. — Wprowadzają nas one w cudowny, tajemniczy świat. Pokazują nam bogate dziedziny, około których przechodzimy codziennie, niestety nie umiejąc i nie chcąc patrzeć, ślepi i obojętni.

Duży, dobry i mądry człowiek idzie w przyrodę. — Wyciąga ręce do ptaków. Pokochał je. Podpatruje je i żyje z nimi. Potem opowiada o ich życiu. Ot i wszystko. Tylko, że opowiadania te są zupełnie odmienne od tych, które czytaliśmy dotąd, tylko, że podejście Berga do tajemnic przyrody jest jakieś inne.

Czy słyszeliście o człowieku, którego ptaki tak pokochały, że wysiadywały jaja na jego rękach? Człowiekiem tym jest właśnie Bengt Berg.

W górach dalekiej Laponji, w wędrówkach swych spotyka się z siewką. Zawiera z nią przyjaźń. Historja tej przyjaźni jest właśnie treścią jednej z książek Berga, tej, która ukazała się ostatnio w polskim przekładzie.

Dużo jest momentów, które składają się na to, że książki Berga są tak porywające. Niewątpliwie najważniejszym z nich jest ten, że Bengt Berg umie patrzeć na otaczający go świat jednocześnie i jako artysta i jako uczony. Danym mu jest przytem dar zupełnie wyjątkowych zdolności obserwacyjnych. Patrząc, widzi wszystko. Nie ujdą jego uwagi najdrobniejsze szczegóły z życia przyrody, a jednak w szczegółach tych nie gubi się on. Widzi obrazy. I oddaje je nam takiemi, jakiemi są. W jego ujęciu mają i szeroki horyzont i głęboką perspektywę.

Cierpliwość posiada imponującą, słusznie też tej cierpliwości przypisuje powodzenie w zawieraniu bliższej znajomości ze zwierzętami. Ona to daje mu do ręki ów czarodziejski klucz, którym otwiera tyle tajemnic przyrody.

Strona ilustracyjna książek Berga stanowi uzupełnienie ich treści. Berg jest mistrzem w fotografowaniu ptaków. Doprawdy nie wiadomo, co więcej podziwiać. Czy artystę fotografa, który z imponującą cierpliwością wypracowuje pojedyńcze zdjęcia, czy też świetnego prozaika, który z tak pogodnym uśmiechem opowiada nam przeżycia swych skrzydlatych przyjaciół.



„Mój skrzydlaty przyjaciel"*) jest jedną z szeregu książek Berga, które ukazały się w ostatnich latach, początkowo w szwedzkim, później w niemieckim języku. Pierwszą z nich jest bodaj: „Z ptakami wędrownemi do Afryki" (Med Tranorna till Afrika, Stockholm 1922), która w niemieckim przekładzie ukazała się w roku 1924. Odtąd nie upływa rok, by Berg nie wydał czegoś nowego. W roku 1925 (dalsze szczegóły dotyczą niemieckich wydań) ukazuje się „Mein Freund der Regenpfeifer" (w przekładzie polskim „Mój skrzydlaty przyjaciel"), w roku 1926 „Abu Markub". Tu porzuciwszy surową północ, przenosi się autor do podzwrotnikowej Afryki, by zawrzeć bliższe znajomości z afrykańskiemi ptakami, panterami i słoniami, których setki filmuje i fotografuje tak, jak tylko on to potrafi. W następnych książkach powraca znów na północ. W roku 1927 wydaje „Ostatnie orły", w roku 1928 „Tookern. Jezioro dzikich łabędzi", w roku 1929 „Niezwykłą wyspę", w roku 1930 „Historję miłosną dzikiej gęsi".

Książki Berga w Szwecji i w Niemczech rozchodzą się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. W Polsce dotychczas były prawie nieznane. — Pierwszy ukazał się właśnie „Mój skrzydlaty przyjaciel". Zarówno tłuma-

*) Bengt Berg. „Mój skrzydlaty przyjaciel". — Tłumaczył Antoni Czekalski. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1931.

czowi tej książki, jak i jej wydawcom należy się gorące podziękowanie. Spodziewać się należy i nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, że za tym pierwszym tomikiem, nastąpi wydanie wszystkich innych książek Berga. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że i u nas zyska on sobie szerokie rzesze czytelników. Wszak książki te czyta się z zapartym tchem. Kto jedną przeczytał, czekał niecierpliwie na ukazanie się następnej. — A już przedewszystkiem winny się one znaleźć w rękach myśliwych i młodzieży. Poza tem, że dają one niezwykłe wrażenie estetyczne, uczą one patrzeć na przyrodę i kochać ją.

Niestety strona graficzna polskiego przekładu pozostawia dużo do życzenia i ustępuje znacznie wydaniom niemieckim.

JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Tymczasem gajowy uszedł jakie trzysta kroków i znalazł odpowiednie miejsce. Wartoby zakurzyć fajeczkę! Nabił ją, szuka zapałek... przewraca wszystkie kieszenie... co u djabła? — niema! Oczywiście zostały na poprzedniem miejscu. Idzie więc, gdy wtem słyszy rozpaczliwe wołania pastuszków: „Wilk! wilk!“ Bezwiednie chwycił za broń i rzucił okiem w kierunku, skąd krzyk dochodził. Stado w panicznym strachu uciekało, ku rzece gnały psy z pastuchami, zaś Burek był już na drugim brzegu z koźlęciem w zębach. Szedł wolnym kłusem, pewny, że pastuszkowie go nie dogonią, zdobycz nie ujdzie, psy nie odważą się go atakować, a gajowy ryby łapie i nie zdąży.

Lecz los chciał inaczej. Bo gajowy błyskawicznym ruchem złożył się i Burek poczuł bolesne ukłucie równocześnie w lewej nodze i w boku. Potknął się, o mało nie upadł i nie oglądając się nawet, zniknął w krzakach. Jeszcze raz musiał się pokazać i jeszcze raz sypnęło się po liściach, jak przygarścią grochu — lecz już był po za strzałem. Furda koźlak! Puścił go po pierwszym strzale i na trzech nogach wiał, co sił, zapomniawszy o dotkliwym bolu. Dopiero po godzinie biegu — ostatecznie wysilony — zatrzymał się, by obejrzeć ranę. Okazało się, że lewa noga jest ugodzona w kość pod samą łopatką jednym śrutem — drugi, słabszy, złamał żebro nie wchodząc głębiej.

Oczyścił ozorem rany, krwawiące obficie, przyczem skomlił zcicha z dotkliwego bólu. Wszystko nic! ale skąd się ten gajowy tu wziął?

A gajowy tymczasem badał nastrzał i klął, aż w niebie było słychać. Wilk był trafiony, to pewne — ale cóż z tego, że nie było dalej, jak pięćdziesiąt kroków. Żeby to były przynajmniej loftki, a nie drobny śrut...

Zaś w tydzień potem donieśli mu pastuszkowie, że wilk kulawy na przednią nogę, porwał im kozę.

Burek okulał już na zawsze. Rana w boku — pomimo złamania żebra, wygoiła się bez dalszych następstw, za to w nodze musiał być obrażony jakiś nerw, lub śrut tkwił w kości, bo choć rana zasklepiła się zupełnie, mięśnie nie działały, jak dawniej. W całej nodze uczuwał Burek pewną sztywność i ból po szybkim biegu lub przy zmianie pogody. Po za tem był w całej pełni fizycznego rozwoju, ważył dobrych pięćdziesiąt kilo, co stanowi imponującą wagę w wilczym rodzie. Psychicznie przeszedł współbraci. Chytrości i doświadczenia pozazdrościć mu mógł jedynie stary wilk. Wśród ludzi poznał się z ogniem i nie bał go się wcale. Podczas gdy współbracia jego nie mieli odwagi przybliżyć się nawet do dogasającego ogniska, rozgrzebywał je Burek na wilczym przednowku z zimną krwią, wiedząc, że ludzie często przy ognisku jadają i pozostawiają nieraz bardzo smaczne kąski. I jak kiedyś, za dziecinnych czasów w leśniczówce, oblizywał się po kawałku chleba, pieczonym ziemniaku, nieogryzionej kości, lub skórce od kiełbasy.

Nie odstraszyło go nawet obozowe ognisko cyganów, owszem ukradł im nawet psa i to tuż pod samym obozem. Na przedśmiertny skowyt ofiary — sypnęły się przekleństwa cygańskie pod adresem Burka, inna interwencja byłaby i tak w nocy daremna.

XIV.

Życie Burka było jednem pasmem przygód i wypadków mniej, lub więcej szczęśliwych. Straż leśna dybała nań ze zdwojoną energją, dyrekcja bowiem naznaczyła nagrodę za jego głowę. Taki to już los wilczego rodu, że jednostki niższe psychicznie giną od ołowiu, trucizny, lub żelaza, plemię obecne zaś, to potomkowie tych wybrańców, co potrafiły uniknąć zdradliwej ręki człowieka.

Burek jednak przeszedł chytrością, najchytrzejszego, a przy tem sprzyjało mu wprost bajeczne szczęście. Oto co mu się przytrafiło w miesiąc po ostatnim postrzale!

Od wioski Pasieki ciągnie się doliną rzeki smuga zaniedbanych pastwisk, porosłych olszyną, która nad brzegiem przechodzi w gąszcz wiklinowy, podszyty splotem na metr wysokiej łopuchy. Było to miejsce codziennych wycieczek Burka, jako, że tu pasły się stale owce i kozy, a pastuszkowie, obsiadłszy ognisko, nie zbyt pilnie ich strzegli. Godzinami całemi wylegiwał się Burek w łopuchach, czekając na sposobną chwilę.

W którąś niedzielę, czy też święto, zawiadomiła leśniczego dyrekcja, że pragnie zapolować na zające. We wsi tłumek naganiaczy oczekiwał na auto z myśliwymi, gajowi w osobnej grupce stojący, odbierali dyspozycję leśniczego. Na chybił trafił objęto planem i owe paśniki nadrzeczne.

C. d. n.)

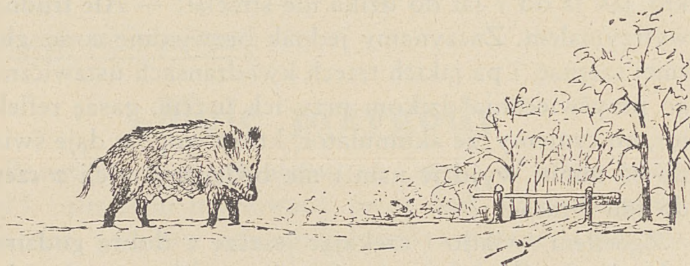


Pod krzaczkiem

W kniei podsłuchane

Ile razy czytam... „Czas ochronny zwierzyny"...
Jak prawo chroni — przeróżne te rodziny...
Towarzyszy moich, sąsiadów, — znajome
Byki jeleni — też ptaki uskrzydlone!!
Rozpacz mnie bierze!! Z jakiego powodu,
Tu właśnie — z rodziną, doznaję zawodu!!!
A przecież kły moje co ci ściany zdobią,
Neseser — który myśliwi z mojej skóry robią,
Nawet moje szynki — co ci tak smakują,
Na jakiś wzgląd przecież — także zasługują!!
Chociaż ja w kniei — jestem zwykłym dzikiem,
Z boleścią — stwierdzam moim tęsknym kwikiem:
Nie szanują mi żony — córki — gdy mkną do akuszera
Jeno strzelają — z flinty, ba nawet z Mauzera!!
Wy, którzy serc naszych — lunetą szukacie
Dlaczegóż nam czasu ochrony — choć trochę nie dacie!
Zwracam się do was — myśliwi! w gorącym apelu:
Proście, tych co siedzą w poselskim fotelu —
Niech nas na karcie ochrony, raz zaintabulują!
Wciąż tak bez przerwy — niech nas nie mordują!!

T. P.



Mozaika Dzicza

Ucywilizowane dziki

I.

Takim to nieco dziwnym tytułem nazwaćby można epizod, jaki danem mi było przeżyć w lasach Dóbr Międzyrzeckich. — A było to tak: W jednym z okręgów leśnych, w tak zwanym Myszogrądzie, w sporym gąszczu sosnowym, silnie jałowcami podszytym, trzymają się stale dziki, które też tam od początku zimy karmiłem żołędziami. Dziki pomału ściągały się do tego miejsca, tak, że niepodobnem było policzyć, ile ich tam stale w tym gąszczu zalegało — bo tylko sporadycznie czasem, jedna lub dwie sztuki z gąszczu wychodziły i zalegały w innych miejscach.

Uzyskawszy zezwolenie mego Chlebodawcy, aby tam jeszcze i konia założyć i zbudować na drzewie ambonę do obserwacji — skwapliwie do tego przystąpiłem i w dwa dni wszystko było gotowe, ja zaś obiecywałem sobie niejedną błogą chwilę spędzić na ambonie na podpatrywaniu. — Przez pierwsze trzy noce, gdy już wszystko było gotowe, nie wychodziłem na ambonę, nie chcąc dzików ewentualnie niepokoić, oraz czekając, aż się do założonego konia ściągną na dobre. — Razu pewnego, gdy na południe z objazdu z lasu wróciłem, wita mnie żona radosną nowiną, że zaraz po moim odjeździe do lasu rano, był gajowy z meldunkiem, że dziki tej nocy przy koniu były i zjadły go prawie do połowy. — Czekać zatem dalej nie trzeba było, toteż zaraz po obiedzie o 2-giej, razem z żoną, która koniecznie do swego albumu fotograficznego chciała mieć zdjęcie dzików — pojechaliśmy do Myszogrądu. — Jako ekwipunek na tę wyprawę, wzięliśmy aparat (soczewka 1:4,5), 2 nocne doskonałe lornetki Görtza, reflektor elektryczny dający bardzo silne i białe światło skupione w mały punkt — oraz ja wziąłem, ale to już dla tradycji sztucer, bo chociaż strzelać nie miałem zamiaru, ale przynajmniej fakt, że go koło siebie tego wiernego starego przyjaciela posiadam — był mi przyjemnym.

Już o godzinie mniej więcej 15,10 byliśmy na ambonie, podjechawszy pod samą drabinę saniami, aby własnemi tropami nie pozostawić na ziemi zbyt wiele „wiatru". — Ledwo się na górze umieściliśmy i wszystko przygotowali, gdym jeszcze moją lornetkę z futerału wyjmował, usłyszałem szept żony: lis! I istotnie, szedł prosto na konia od grubego lasu, z miną zakłopotaną — czy, aby się nie spóźnił do uczty. W parę sekund był już przy koniu i schował się cały pod żebra na pół zjedzonego przez dziki konia, tak, że mu tylko kitę było widać. Gdy się już najadł, wyszedł, otrzepał się i przezornie oglądnąwszy, czy nikt go nie widzi, zaczął odrywać kawałki mięsa i chować — widać na czarną godzinę — to pod pniaka, to do śniegu, zabawnie przytem medytując, czy schowek jest pewny. W pewnej chwili spory kawał jakiejś żyły wydartej z konia, przyniósł bezpośrednio pod naszą ambonę, tam sobie przysmak położył, łapką w śniegu dziurę wykopał, potem włożył mięso do środka i nosem, jak pies, zakopywał, doskonale było słychać jak nosem po zmarzniętym śniegu szurał. Nareszcie odszedł kawałek, oglądnął się, czy schowek dobrze zamaskowany — i widać mu się coś nie „widziało", bo wrócił, odkopał, skrupulatnie ze śniegu przysmak otrząsnął — i zaniósł pod pniak starego dębu, gdzie znowu tak samo zaczął zakopywać. — Na takich obserwacjach tego lisa i następnych dwóch, które nie długo do konia podeszły, zeszedł nam czas mniej więcej do godziny 4,30. — W tem przy zupełnej ciszy, więcej odczuliśmy, niż usłyszeli, że coś za naszemi plecami w gąszczu jest, coś jakby trzasło, coś jakby oddech dał się słyszeć, nastała jeszcze większa cisza — tak dobrze znana duszy każdego myśliwego, gdy się jeszcze nic nie widzi i dokładnie nie słyszy, ale czuje się, że „idą". — W tej samej chwili od gąszczu w miejscu, gdzie było zadawanie żołędzi, z ambony niewidoczne (koń leżał poza gąszczem na polanie na 25 kroków od ambony), doszedł nas już całkiem wyraźny rechot dzików, które już przy żołędziach na dobre zaczęły ucztę. — Emocja szalona: czy przyjdą, czy wyjdą jeszcze za dnia na las... a tam kwik warchlaków słychać,

to znowu fukanie jakiejś większej sztuki, to znowu tupot uciekających a widać gonionych przez drugie sztuki, dawał pole do snucia fantastycznych obrazów wyobraźni.

Już zaczęło szarzeć, jeszcze na kulowy strzał światła było, ale już zmrok obejmował las na dobre, gdy wtem od strony zadawania żołędzi dał się słyszeć wzmożony hałas, kwik, tupot i na gruby las wyjechały jak z procy dwa warchlaki gonione przez dwie większe sztuki... gdy się na las zupełnie zapędziły, nagle większe sztuki stanęły, zrobiły front do konia i z podniesionemi gwizdami ruszyły wolno prosto na niego, fukając na lisy, które tam jeszcze ucztowały. — Mamy ich w lornetkach jak na dłoni, obie spore sztuki wyglądają jak zjawy leśne wykute z bronzu. — W chwili gdy do konia podeszły i zaczęły rwać padlinę, reszta sztuk, jakby na dane hasło, ruszyła z gąszczu i zaczęło się całe towarzystwo na arenie pokazywać, najpierw 3 dalsze większe sztuki, potem sznureczkiem locha z 7 warchlakami, ustawicznie mająca coś do gadania — razem 13 sztuk. Cała gromada obstąpiła konia — lecz już zaczęła się niezgoda, oto większe sztuki zaczęły warchlaki odpędzać, gonić, tak, że po chwili rwetesu jak w chlewie, locha z małemi, pomrukującemi żałośnie, wróciła do żołędzi, a przy koniu pozostały większe sztuki. — Zaczynamy na dobre lornetować, rozpoznajemy sporego wycinka ze specjalnie garbatym ryjem, potem sporą lochę wypasioną i gładką jak kulka i bawimy się lisami, które w liczbie trzech obsiadły naokoło polanę i siedząc na podwiniętych kitach, oblizywały się! — Nareszcie zrobiło się zupełnie ciemno, a że był to akurat dzień przed nowiem, więc około godziny 8,30 nawet przez szkła ledwo można było rozeznać, że dziki są przy koniu.

Postanawiamy zejść — ale po naradzie postanawiamy zrobić próbę ze światłem, oświetlić dziki i równocześnie żona zrobi zdjęcie — a nuż się uda? Przygotowujemy wszystko, stajemy tak, że nad balustradą ambony mamy aparat i reflektor i gdy wszystko gotowe, naciskam kontakt, pewny, że w momencie, gdy światło zabłyśnie, wszystko pryśnie... Naciskam kontakt, rażąco biała smuga światła pada na konia i dziki, moment zacukania, wszystkie postacie na „baczność“, daje się słyszeć cichy trzask migawki, ten największy wycinek odskakuje na bok... lecz dopiero teraz spostrzegam, że wszystko stoi, że już świecę parę sekund a dziki nietylko, że nie uciekają, lecz o dziwo, wracają i zaczynają na dobre w dalszym ciągu zajadać!

Jak na nowe hasło, że „do stołu podano“, robi się za nami ruch i żona, która miała widok bardziej na gąszcz, powiada: locha pod nami! I istotnie, reszta sztuk od żołędzi sunie z gąszczu prosto na konia i światło... Widok cudowny, wszystko w jasnej smudze światła widne jak w dzień, ślepia błyszczą zielono, a dziki nic sobie ze światła nie robiąc, szarpią konia dalej. W rozbitem świetle bocznem od reflektora spostrzegamy dalej na lesie cztery pary błyszczących ślepi, ryzykuję ruszenie reflektorem tak, żeby głównym snopem ostrego światła poszukać tych ślepi... Ruszam, dziki nic, tylko niezadowolony pomruk daje się słyszeć, jadę do pierwszej pary błyszczących ślepi i poznajemy dzika, drugi, trzeci i czwarty, wszystko dziki nowe, wszystko sztuki bardzo wielkie, stoją na sztych do potwornych rozmiarów światłem powiększone. Gdy tak trzymam w smudze światła największego odyńca, któremu szable błyszczą doskonale, nagle rusza on ku nam, tym wolnym, znanym dziczym krokiem... Mam wrażenie, że nas widzi, że lada chwila zaatakuje; idzie wolno on i tamte trzy, jak urzeczony światłem, dochodzi do konia, gdzie poprzednie zrobiły im jakby miejsce i w pewnej chwili mamy przed sobą w kręgu światła 17 sztuk dzików, w tem 4 bardzo grube sztuki, a wszystko to, jakby odprawiając czarodziejski jaki sabat, snuje się koło konia! Słyszę szept żony: „Co będzie? Nie ustąpią!? — Tak, istotnie, co będzie, przecie to niesamowite uczucie, gdy się widzi takich poważnych panów leśnych, jak nic sobie z naszego światła nie robiąc, ani myślą ustąpić. —

I tutaj muszę się przyznać do jednego — oto jeżeli czem kiedy Św. Huberta obraziłem, to za tą pokusę, której dzielnie czoło stawiłem, mam chyba wszystkie grzechy łowieckie odpuszczone, bo taka straszna mnie wzięła pokusa — strzelić, a odczuje ją chyba każdy, kto, jak ja od 7 lat do dzika nie strzelał! — Ale trudno, wytrzymałem. Zaczynamy jednak bezwiednie coraz głośniej szeptać, i pa jakich trzech kwadransach ustawicznego przyświecania dzikom przy ich uczcie, gaszę reflektor, bo czujemy, że akumulator, który wogóle daje światło 85 minut wyjdzie nam i nie będziemy mieli z czem do sań wracać.

Zgasiłem światło i czekając jeszcze z dobrą godzinę, gdy chwilę długą nic nie słyszeliśmy, zlustrowałem las czy dziki już poszły i dopiero wówczas z ambony zeszliśmy. — Epizod cały wydaje mi się w każdym razie tak nie codziennym, że postanowiłem opisać go i posłać kochanemu „Łowcowi“, a jeżeli z fotografji, która niestety jest prawie całkiem nie udana, sztuka fotografa coś zdoła uratować — to poszlę to zdjęcie, jako widomy znak, że są dziki istotnie cywilizowane, które do uczty potrzebują — światła elektrycznego.

Inż. St. R. R.

II.

Przesyłam epizod, który się wydarzył w Burakówce, majątku Pana Szczęsnego Cieńskiego, 14 stycznia 1930.

Pech zrządził, że nie byłem obecny w domu, gdy ekonom i kowal dworski ex-wojskowy, przyszli zaaferowani do mej żony z prośbą o wydanie strzelby, gdyż dwa dziki zalegały w polu niedaleko folwarku. Strzelby naturalnie nie dostali, tylko otrzymali ucięty karabinek Werndla, który dla parady i dodania odwagi, nosi w nocy stróż. — Czy i kiedy karabin był czyszczony, ze wstydem przyznać się muszę, zdaje mi się, że nigdy!... Przez dzień stał w kącie za szafą w kancelarji, a na noc stróż go zabierał, by rano znowu postawić na to samo miejsce! — Karabin ten i trzy naboje, które znalazły się

na wierzchu w kancelarji, otrzymali przygodni myśliwi i dobrawszy sobie czterech fornali z widłami, zaczęli saniami podjeżdżać dziki!

Najgorszą sprawą okazał się zamek, gdyż pod naciskiem palców kowala, otworzyć się nie chciał i dopiero z pomocą końca wideł ustąpił. Następnie z nabojami były również trudności, gdyż te z powodu rdzy, nie chciały wejść do lufy... i tu ponownie widły torowały drogę!... Dziki przez ten czas stały na 20 kroków, kłapiąc szczękami! — Pierwszy i drugi nabój zawiodły, dopiero trzecim, dzik wagi 167 kg, padł trafiony na komorę. Cała ta heca trwała około pół godziny, dopiero gdy padł jeden towarzysz, drugi z furją zaatakował sanie z nemrodami, którzy broniąc się widłami, uciekli z placu boju w sromotnym strachu; dzik gonił za saniami przeszło 300 kroków, pod sam folwark, skąd zawrócił i podążył w stronę Beremiańskich lasów, niknąc przedemną, gdyż w tę porę nadjechałem.

Dziki zdaje się były przemęczone drogą, przebytą od strony Seretu, gdzie uszły przed strzałami myśliwych, co wnioskuję po odgłosie strzałów w tamtej stronie.

Stanisław Bodnar
dyrektor dóbr

SZYMON MOŻAROWSKI

„Moje przygody"

Powróciwszy z uchodźtwa, z Czech w zimie roku 1915, zostałem mianowany przez Sąd opiekuńczy we Lwowie, najpierw administratorem a później i kuratorem opuszczonych majątków włościańskich w powiecie lwowskim z siedzibą w Zapytowie. Włościanie tamtejsi, jakoteż i okolicznych wsi, podówczas „Moskalofile", opuścili swoje domostwa i mienia, uchodząc w głąb Rosji z Rosjanami, a że Sąd opiekuńczy we Lwowie czuł się w obowiązku czuwania nad ich mieniem i dalszego prowadzenia gospodarki, ustanowił na razie kuratorem ś. p. Adama Paparę, mnie zaś jako agronoma, zarządcą wszystkich opuszczonych gruntów, dając nam do pomocy prawo rekwirowania robocizny pieszej i konnej, jakoteż znaczną ilość jeńców rosyjskich, rumuńskich i udających się na spoczynek wojsk austrjackich.

Po roku zrzekł się ś. p. A. Papara kuratorstwa na moją rzecz. Mieszkałem tedy w Zapytowie i znając kilka języków do porozumiewania się z różnojęzyczną masą, prowadziłem tę żmudną gospodarkę przez kilka lat. Ażeby pobyt mój na opuszczonej wiosce uprzyjemnić, trzymałem tamże w dzierżawie prawo polowania. Polowanie to jednak było znikome, gdyż Zapytów lasu nie miał i ograniczało się do takiej zwierzyny, jak zając, kuropatwa i kaczka a kiedyś niekiedyś i lis. Zwierzyna tego rodzaju była stosunkowo dość liczna, bo znaczna część pól, nie uprawiana przez dłuższy czas, pokrytą była burzanami i bodiakami, które tworzyły doskonałe schronienie dla zwierzyny a szczególnie zajęcy — to też liczni goście ze Lwowa, znajomi moi z urzędu i z wojska, jako byłego oficera austrjackiego, licznie i często mię odwiedzali, podziwiając ilość ubitej zwierzyny na każdorazowem polowaniu.

Polując w wolnym czasie sam z synem, używałem do posług i noszenia zwierzyny 15-letniego chłopaka imieniem Michał, który zdradzał ogromne zajęcie i zainteresowanie polowaniem każdego rodzaju i gdy pewnego razu, a było to w sierpniu roku 1921, zmuszony byłem wyjechać w sprawie uchodźców do Sądu opiekuńczego do Lwowa a Michał wyprowadził na pastwisko ojcowskie konie, natknął się przypadkowo na dwie wydry, śpiące na brzegu małej tamtejszej rzeczki, a leżące w ten sposób, iż jedna drugiej założyła na szyję głowę, jak to nieraz zwykły czynić na pastwisku wieśniacze konie. Zaanimowany tak grubą zwierzyną, postanowił za wszelką cenę wydostać z mego domu strzelbę i ubić wydrę, ażeby jak sam mówił, miał się czem pochwalić po moim powrocie; — że jednak nad rzeczką rosły gęste szuwary i Michał przypuszczał, że idąc drugi raz, może nie trafić dokładnie na toż miejsce, idąc zaś na oślep, spłoszyć śpiące wydry, ułamał z nieopodal stojącej wierzby dość długą gałąź, na której przytwierdziwszy z jednego końca znalezioną w kieszeni chustkę, drugi koniec wbił w ziemię. Tworzyło to więc chorągiewkę, wystającą ponad szuwary a widoczną z daleka.

Pędem pobiegł do mego domu i molestował starą kucharkę, by mu wydała strzelbę. Po bardzo usilnych prośbach i naleganiach wydała mu kucharka małą pojedynkę lankastrową kal. 20, używaną podówczas przez młodego mego syna, — lecz że Michał obawiał się, iż po drodze mógłby mu ktoś strzelbę odebrać, rozebrał ją, włożył lufę w spodnie, zaś łoże w zanadrze i w ten sposób kulejąc na jedną nogę, której nie mógł zginać, powędrował na łąki. Miał jeden nabój kiedyś znaleziony, naumyślnie prawdopodobnie przez któregoś z myśliwych, jako niewypał, wyrzucony.

Idąc bardzo ostrożnie najpierw do chorągiewki, stąd zaś do legowiska wyder, spostrzegł z zadowoleniem, że w sytuacji nic się nie zmieniło. Wydry pod wpływem ciepła słonecznego spały twardo, odległość jego od nich była bardzo mała, strzał więc choć z ręki laika, był prawie pewny. Strzelbę nabił, przyłożył do twarzy, pociągnął za cyngiel, lecz niestety nabój nie wypalił, tylko klapnięcie kurka było głośne. Odciągnął kurek drugi raz, drugi raz pociągnął za cyngiel, lecz z tym samym skutkiem. Zrozpaczony chłopczysko, nie tracąc kontenansu, otworzył prędko strzelbę i obrócił sterczący w lufie nabój o pół obrotu, — złożył się szybko, nacisnął cyngiel i na szczęście usłyszał huk strzału, po którym zbudzone hukiem wydry, gwałtownie wskoczyły do wody.

Był w rozpaczy, pocieszał się tylko tem, iż zauważył, że woda w rzeczce zaczerwieniła się nieco w tem miejscu, gdzie wydry wskoczyły. Po chwili spostrzegł, że jedna z wyder wylądowała opodal na skoszoną łąkę, ciągnąc za sobą wnętrzności. Pewny wygranej chłopiec,

nie znając zjadliwości tego zwierzęcia, przyskoczył, by je pochwycić, lecz w tejże chwili wydra, choć ciężko ranna, rzuciła się z impetem na niego, wpijając mu swe ostre zęby w kolano. Na szczęście grube odzienie i prędki zwrot w tył, uchroniły go od cięższego ukąszenia. Widząc, że nie da sam rady, pobiegł w głąb łąki, zobaczywszy gospodarza koszącego siano i przy jego pomocy, tłukąc kosiskiem, uśmiercił wydrę. Był to piękny okaz starego samca o błyszczącem ciemno brunatnem ubarwieniu. Niestety skóra zdjęta nie miała wielkiej wartości, gdyż Michał, chcąc się nią całą przedemną pochlubić przez dwa dni mej nieobecności a przy sierpniowym upale nie zdejmywał skóry.

II.

Przy końcu stycznia następnego roku, wybrałem się z tymże Michałem na polowanie na zające, nie tyle w myśli upolowania zająca, ile w celu użycia ruchu. — Ziemia była przemarznięta, śniegu było nadzwyczaj mało, leżał on tylko po rowach i bruzdach zwiany silnemi wiatrami. Uszliśmy jakich kilkaset kroków od wsi, gdy naraz ujrzałem przed sobą leżący jakiś przedmiot koloru żółtego w formie dużej rynki kuchennej. Ponieważ od młodości nie jestem wielkim ostrowidzem, patrzyłem z ciekawością na leżący przedmiot, nie mogąc się domyśleć, coby to było. Przypuszczałem początkowo, że to duży baniak nadzwyczaj zardzewiały, który ktoś z chłopów, czy umyślnie, czy wywożąc nawóz, wywlókł w pole. Michał szedł obok mnie i także nie mógł poznać, co to takiego. Rozglądnąłem się dookoła i ujrzałem w odległości około 200 kroków od leżącego przedmiotu jednego z gospodarzy tejże wsi, który wywiózłszy nawóz na swoje pole, odrazu go rozrzucał.

Że to tak wyglądało, iż leżący przedmiot znajdował się również na jego polu, wpadło mi na myśl, czy przypadkiem nie zrzucił on czapki zrobionej z cielęcego tornistra austrjackiego, która przy robocie mogła mu zawadzać. Bądź co bądź szedłem dalej, by się przekonać co to jest i pomimo tego, że ziemia była zamarznięta a stukot kroków naszych był nawet zdaleka dosłyszalnym, podeszliśmy do żółtej kupki na jakich 20 kroków. Leżała ona nieruchomo, prawie geometrycznie zaokrąglona bez żadnych wystających kończyn. Zdawało się jednak, że lekko wiejący wietrzyk poruszał jakby włosami tej kupki, nie ulegało więc wątpliwości, że przedmiot ten tworzyło jakieś zwierzę silnie w kabłąk skręcone — prawdopodobnie psa.

Ochraniać psa, bujającego swobodnie bez właściciela po polu, nie miałem zamiaru, przyłożyłem więc strzelbę do twarzy i strzeliłem, a jakież było moje zdziwienie, gdy w wijącem się w kurczach zwierzęciu poznałem bardzo pięknego starego lisa. Należał on do rzędu nie lisów gęsiarzy, które mają futro pokryte rdzawo-rudawym włosem z nakrapianiem włosami białemi, lecz do rzędu tak zwanych „Żmurków" o ubarwieniu jasno kasztanowatem, od poprzedniego mniejszy, ale więcej poszukiwany.

LEON PRELICZ

Jeszcze o rozpoznaniu płci słonki

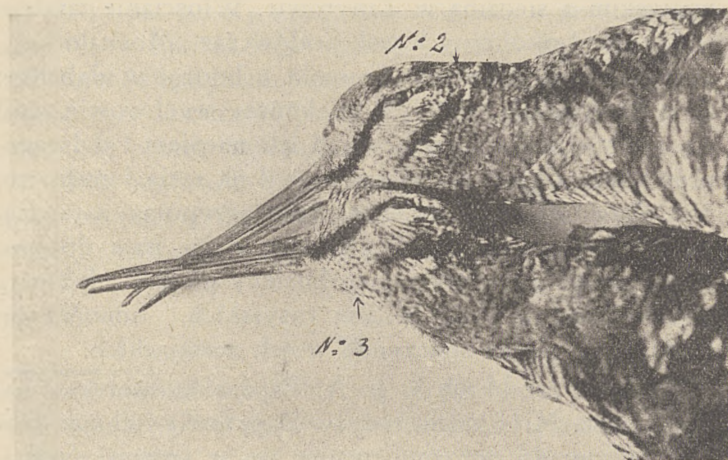
W sprawie rozpoznawania płci słonki (bez przeprowadzania sekcji) poruszanej niejednokrotnie w prasie myśliwskiej, dołączam parę spostrzeżeń celem podzielenia się i podania osądowi myśliwych.

Na podstawie przeprowadzonych obserwacyj, niejeden z myśliwych stwierdził, iż słonka ma niżej oczu z obu stron upierzenie silnie podkreślone ciemnym (czarnym) paskiem około 4 mm szerokości i około 25 mm długości, z obu końców ostro zakończonym, otóż po kształcie podkreślenia można najpraktyczniej rozpoznać samca od samicy.



Samiec zastrzelony na ciągu

S a m i e c: (Nr. 1 i 2). Podkreślenie niżej oczu równe szerokości około 4 mm, długości około 25 mm, oba końce podkreślenia ostro zakończone.



Samiec zastrzelony na ciągu. — Samica zastrzelona przed psem na buszowanego

S a m i c a: (Nr. 3). Podkreślenie niżej oczu, trzy razy załamane zygzakowato, składające się z czterech części, oba końce ostro zakończone tworząc jakoby dużą literę „M" mocno spłaszczoną i szeroko końcami rozwartą u dołu.

Przy tej sposobności przypominamy naszą notatkę umieszczoną w „Łowcu" z r. zeszłego (Nr. 11, str. 173) z prośbą do naszych przyrodników i myśliwych, by przy okazji bliskiego wiosennego ciągu, zechcieli się zainteresować problemem rozpoznawania płci słomek na podstawie różnic w upierzeniu i nam swe spostrzeżenia nadsyłali. Zaznaczamy, że różnice w ubarwieniu mogą być zadokumentowane jako oznaki płci tylko na podstawie sekcji.

Red.



KORESPONDENCJE

Sądowa-Wisznia 8 marca 1931 r.

Po skończonym sezonie podaję spostrzeżenia dotyczące stanu zwierzyny w naszym powiecie, oraz wyniki z polowań odbytych we wschodniej połaci powiatu mościskiego.

Stan sarn dobry, straty spowodowane ciężką zimą roku 1928/29 prawie zupełnie wyrównane, na polowaniach zimowych rogaczy nie strzelano. Również i stan zajęcy naogół dobry a na terenach pilnie dozorowanych, nawet bardzo dobry w przeciwieństwie do sąsiednich pozostających bez dozoru, gdzie w polu podejmowano po kilkadziesiąt wnyków w czasie polowania, ale za to ubito w 10 strzelb jednego zająca. Lisów sporo i już nie parszywych, natomiast kuropatw tak, jak by nie było, bo na obszarze 3.000 ha, gdzie przed wojną spotykałem kilkadziesiąt stad, obecnie w jesieni było jedno stadko z czterech sztuk się składające. Wobec tego proszę o zamknięcie polowań na kuropatwy na przeciąg co najmniej dwóch lat. Dzików było u nas w latach 1916—26 nawet dosyć dużo a obecnie dzięki rekordowym strzelcom a lichym myśliwym prawie że ich nie ma.

1) 24/XII. 1930. Gmina Bortiatyn, pola i zagajniki gminne dzierżawione przez WP. K. Marta w 4 strzelb — 16 zajęcy. Teren bardzo ładny, ale za to co drugi dom kłusownik.

2) 29/XII. 1930. Lipniki, las dzierżawiony od gminy przez WP. Śmiałowskiego, B. Skibniewskiego i pułk. F. Filipowicza w 10 strzelb — padło 56 zajęcy. Lisy wyszły niestrzelane, pogoda marna.

3) 30/XII. 1930. Stojańce, pola gminne dzierżawione przez WP. Śmiałowskiego w 10 strzelb ubito 39 zajęcy. Pogoda fatalna.

4) 5/I. 1931. Bortiatyn las WP. Marsa w 9 strzelb ubito 31 zajęcy. Sarny widziano prawie w każdym miocie. Cały dzień ulewny deszcz. Z licznych niegdyś dzików dziś ani śladu.

5) 5/I. 1931. Twierdza — pola gminne dzierż. WP. Śmiałowski, B. Skibniewski i pułkownik F. Filipowicz w 7 strzelb ubito 37 zajęcy. Z powodu ulewnego deszczu zakończono polowanie o godzinie 13-tej.

6) 10/I. 1931. Tuligłowy obszar dworski dzierżawiony przez WP. pułkownika F. Filipowicza i dwa kotły na obszarze gminnym w Sądowej Wiszni dzierżawionym przez niżej podpisanego w 6 strzelb ubito 39 zajęcy i 3 lisy.

7) 12/I. 1931. Wójkowice, Zawadów, Słabasz, gminne, dzierżawione przez WP. B. Skibniewskiego w 6 strzelb ubito 38 zajęcy.

8) 13/I. 1931. Stojańce, obszar dworski właściciel WP. Śmiałowski w 7 strzelb ubito 39 zajęcy.

9) 17/I. 1931. Wołostków, właściciel WP. Gustaw Rupp w 14 strzelb ubito 110 zajęcy i 2 lisy. Na tym samym terenie w roku 1909 kiedy majątek był jeszcze w innych rękach a dzierżawcą był żyd, na polowaniu odbytem w grudniu w 8 strzelb ubił niżej podpisany jednega zająca i był królem polowania. Przykład powyższy przytaczam na dowód, co może z terenu zrobić dobry myśliwy i staranny gospodarz. Oby św. Hubert dał nam takich więcej.

Dr. Marceli Puza
delegat na pow. mościski

Ostobuż, 9 marca 1931 r.

Przy sposobności przesłania mi wykazu ubitej zwierzyny w czasie od 1 marca 1930 do 28 lutego 1931, zawiadomił mnie pan Stefan Romer, że dnia 2 września 1930 roku zastrzelony został przy puhaczu w Wierzbicy, powiat Rawa Ruska, sokolik pustułka (falcotinunculus), który miał na nodze obrączkę Muzeum zoologicznego w Helsingforsie. Zawiadomione o tem Muzeum doniosło, że ptak ten wypuszczony został ze stacji doświadczalnej w północnej Finlandji dnia 2 lipca 1927 r.

Kazimierz Wysocki
delegat



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału Małop. Tow. Łowieckiego w dniu 18 marca 1931 r.

Przewodniczący Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz i A. Ulm, zastępcy: St. Jaśkiewicz i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: T. Barański, C. Czarkowski-Golejewski, T. Jędrzejewicz, Fr. Meraviglia, St. Pieńczykowski, H. Prek, i Dr. W. Ziembicki.

Prezes przedstawił tok obrad odbytego, w dniu 14 marca br. posiedzenia Zarządu Głównego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i podał do wiadomości Wydziału, że Walne zgromadzenie Związku odbędzie się w dniu 10 maja.

Termin Zjazdu M. T. Ł. ustalono na 19 i 20 czerwca o ile będzie można uzyskać na te dni strzelnicę wojskową.

Omówiono udział M. T. Ł. względnie jego delegatów w mających się odbyć w sierpniu Międzynarodowych Zawodach Strzeleckich i postanowiono raz jeszcze powiadomić kompetentne czynniki stolicy, że Wydział weźmie na siebie odpowiedzialność tylko za sprawy wyraźnie mu powierzone, na miejscu we Lwowie przeprowadzić się mające.

Delegatami M. T. Ł. zamianowano: inż. Filipa Hirscha w Worochcie, w powiecie nadwórniańskim, inż. Kobylańskiego w Wincentówce i Juljusza Lindego, w Czeremchowie, obu w powiecie kołomyjskim, Adama Skarzyńskiego w Rawie Ruskiej i Jana Teopfera w Korzenicy, w powiecie jarosławskim.

W poczet członków zostali przyjęci: Jan Gebauer, w Milatynie Starym, pow. Kamionka Strumiłowa, Władysław Gumiński, w Tarnopolu, inż. Filip Hirsch, w Worochcie, pow. Nadwórna, Albert Kaempffe, w Szaleniku, pow. Rawa Ruska i inż. Jan Toepfer, w Korzenicy, pow. Jarosław.

Na własne żądanie, bądź też dlatego, że Wydział stracił z nimi kontakt, zostali skreśleni z listy członków: Agopsowicz Antoni, inż. Błocki Bolesław, Dronowicz Bronisław, Dworski Aleksander, Dzieduszycki-Choiński Jan, Fangor Konstanty, Gołogórski Bronisław, Gross Marjan, Grzybiński Michał, Gutkowski Marjan, Kalkstein-Ostowski Józef, Kintzi Emil, Knobloch Ludwik, Krzakowski Kazimierz, Niemiec Karol, Petelak Leopold, Peszkowski Władysław, Przybylski Adam Ksawery, Przysiecki Stanisław, Schmid Rudolf, inż. Śliwiński Wilhelm, Stadler Eugenjusz, Stafiński Wincenty, Szczawiński Wiktor, Wachtel Wacław i Wiśniewski Józef.

Od Redakcji

Profesora Janusza Domaniewskiego spotkało wysokie odznaczenie naukowe. Został on mianowicie członkiem honorowym „Société Ornithologique et Mammalogique de France". Nie jest to pierwsze odznaczenie, które spotyka prof. Domaniewskiego ze strony zagranicznych instytucyj naukowych. Dawniej już został prof. Domaniewski członkiem honorowym „Węgierskiego Towarzystwa Ornitologicznego", członkiem korespondentem „American Ornithologists Union", oraz członkiem korespondentem „Królewskiego Węgierskiego Instytutu Ornitologicznego". Od tej ostatniej instytucji otrzymał również prof. Domaniewski medal srebrny, nadany za zasługi naukowe.

KRONIKA

Prawidłowa eksploatacja szlachetnych skór futrzanych

Każdy myśliwy zdaje sobie dobrze z tego sprawę, jak poważnym produktem łowiectwa są skóry. Nieprawidłowe jednak przygotowanie surowca może narazić myśliwego na poważne nawet straty.

Nieodpowiednie zdjęcie i wysuszenie skóry obniża jej wartość nieraz o 50% i więcej, tembardziej, że handlarze skór wykorzystują dla obniżenia ceny każde drobne nieraz uchybienie.

Należy więc dbać o jaknajstaranniejsze zdjęcie skóry, a następnie o prawidłowe wysuszenie jej. To uchroni nas od wyzysku ze strony handlarzy, a równocześnie podniesie wartość krajowego surowca, co jest o tyle ważne, że cały prawie nasz zapas skór futrzanych, z powodu braku odpowiednich fabryk na miejscu, idzie na eksport w stanie surowym.



Prawidło.

Pragnąc więc przyjść z pomocą wszystkim zainteresowanym, podaję poniżej opis prawidłowego zdejmowania i suszenia skór.

Przedewszystkiem należy pamiętać o tem, że im rychlej skóra jest zdjęta, tej jest lepsza.

Jeżeli zwierzę nie jest odarte przez dłuższy czas, wtedy wewnętrzna strona skóry zielenieje, co jest bardzo niebezpiecznym objawem, wpływającym przedewszystkiem na obniżenie ceny.

Względem tym, więcej nawet niż bujnością i puszystością włosów, kierują się handlarze skór przy ich ocenie. Objaw powyższy występuje także przy skórach zwierząt młodych i zabitych przedwcześnie.

Ze zwierząt futerkowych, skórę zdziera się w formie worka, przecinając ją na wewnętrznej stronie tylnych nóg, przez całą ich długość, aż do odbytu. Palce odcina

się przy samych paznokciach, które powinny zostać przy skórze.

Ogon należy wyciągnąć w sposób następujący:

Skręca się trochę ogon, w sposób podobny do skręcania powrósła ze słomy, tak, aby nieco skórę na nim zluźnić, następnie chwyta się mocno przy nasadzie pomiędzy dwa płaskie kawałki drewna, i gdy druga osoba przytrzymuje przy nasadzie, pierwsza mocno ciągnie, dopóki się ogon nie wyślizgnie ze swej pochewki skórnej. Po wyciągnięciu ogona należy skórę ogona, przez całą jego długość na dolnej stronie przeciąć aby umożliwić gruntowne wyschnięcie. Skórę przednich nóg należy również przeciąć przez całą ich długość, pozostawiając paznokcie przy skórze.

Przy ściąganiu skóry z głowy należy uważać, aby nie poprzecinać powiek lub warg. Wogóle należy dbać, by nie pozacinać skóry.

Uszy pozostawia się najczęściej niespreparowane. Ta poważna wada jest przez wielu powtarzana. Uszy pozostawione nie spreparowane, przy garbowaniu zawsze się psują. Należy więc postąpić z niemi w następujący sposób:

Zewnętrzną skórkę należy najpierw oddzielić od chrząstki na całej powierzchni ucha, zapomocą płaskiego okrągło zakończonego drewienka, i odedrzeć chrząstkę wraz z skórką wewnętrzną, które nie są potrzebne. Oddzieranie chrząstki powinno postępować po samej krawędzi ucha. Suszy się skóry na odpowiedniem prawidle z deski, które powinno zwężać się lekko do przodu, aby nie było trudności przy zdejmowaniu z niego skóry wysuszonej. Skórę nóg, ogona i uszu należy podkleić papierem, aby przy wysychaniu nie kurczyła się.

Do podklejania nie używa się kleju, a tylko przeznaczone do tego paski papieru macza się w wodzie i mokre przykłada do skóry. Wystarcza to zupełnie, aby zapobiec kurczenie się skóry wymienionych części.

Skóry należy suszyć w suchych, przewiewnych ciepłych miejscach. Wystrzegać się suszenia na słońcu i w miejscach gorących np. przy gorącym piecu. Skóry nie należy suszyć dłużej jak 1 do 2 dni. Skóra narażona na długie suszenie wypuszcza w przyszłości włos, lub może pleśnieć i gnić.

Po wysuszeniu należy ją przewrócić włosem na wierzch.

Zakrwawionych miejsc nie myje się wodą, lecz w celu usunięcia krwi i spulchnienia włosów „klepie“ się skórę prętem na stole, aż zaschnięta krew wykruszy się i włos stanie się odpowiednio puszysty, a luźne włosy (np. odstrzelone śrutem) wypadną.

Zbigniew Jabłoński



LISTY DO REDAKCJI

Jeszcze w sprawie niedźwiedzicy mizuńskiej

Zabicie niedźwiedzicy i piastuna podczas obławy urządzonej około gawry niedźwiedziej w lasach mizuńskich wywołało całą polemikę, która rozpocząwszy się artykułem w czasopiśmie „Światowid“, odbiła się szerokiem echem w postaci pisma Prof. Dra Wł. Szafera, prezesa Rady Ochrony Przyrody, kończąc się wreszcie wyjaśnieniem Hr. Adama Zdzisława Zamoyskiego, dzierżawcy terenu, na którem odbyło się wzmiankowane polowanie, zakończone zabiciem piastuna i niedźwiedzicy.

Nie wdając się w meritum sprawy, czy strzały dane przez hr. Potockiego były uzasadnione koniecznością, pomijam już fakt pozostawienia koni i około 20 ludzi w najbliższem sąsiedztwie gawry, tembardziej, że łatwo takie okoliczności post factum dyskutować, ale trudniej tak rozumowo postępować w kniei wobec szarżującego zwierza, pragnąłbym dodać do tej polemiki kilka słów, tym razem pro domo sua. — W Nrze 2 „Łowca“ ogłosiłem artykuł naukowy, omawiający nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenia dotyczące rozrodu naszych niedźwiedzi. W artykule tym, który jak mnie informują głosy Szanownej Redakcji, wywołał nawet pewne zainteresowanie wśród szerszych kół naszych myśliwych, dałem wyraz ubolewaniu, iż większość badań dotyczących biologji naszego niedźwiedzia, jest dziełem niemieckich uczonych, że poza Pietruskim 1848!, nikt z polskich uczonych, ani myśliwych nie dorzucił żadnej wzmianki dotyczącej życia tego króla naszych ostępów, którego lata bytowania, kto wie, czy nie są może już na terenie Polski policzone! — W artykule moim cytowałem badania niemieckiego leśniczego Kremetza, który nie będąc uczonym, lecz tylko leśniczym i myśliwym a przebywając w Polsce przez kilka lat, potrafił tyle dorzucić nowego, iż większość obserwacyj i uwag Brehma i późniejszych zoologów jest właśnie oparta na jego spostrzeżeniach, dając wyraz nadziei, że może teraz uda mi się o tyle zainteresować naszych towarzyszy z pod znaku św. Huberta, o tyle szczęśliwszych od niektórych ich kolegów spędzających większą część roku w laboratorjach, by w razie spotkania, zechcieli się ze mną podzielić niepotrzebnemi im zupełnie szczątkami ich trofeów w postaci wnętrzności, a w przypadku konkretnym, aparatu rozrodczego.

Nie pragnąłbym temi kilku słowy przyczynić się do rozognienia dyskusji toczącej się w naszej prasie myśliwskiej około niedźwiedzicy mizuńskiej, trudno mi jednak nie dać wyrazu pewnemu żalowi, jaki mnie ogarnął przy przeglądaniu kartek „Światowida“ z cudownemi zdjęciami, żalu tem większego, że znów upłynęła bezpowrotnie sposobność wyprzedzenia niemieckiej nauki...

Dr. K. Wodzicki
Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego

KOMUNIKAT

z XXIV posiedzenia Zarządu Śl. Tow. Łowieckiego z 28. II. 1931 r.

1. Ukonstytuowano komisję premjową w składzie panów Władysława Malinowskiego, Romualda Mędlewskiego i Dr. Pawła Koždonia. Premje za skuteczne zwalczanie kłusownictwa udzielane będą w formie dyplomów i kwot pieniężnych za rok 1930. Na ten cel ma komisja do dyspozycji 3000 zł. Na rok 1929, udzieliło towarzystwo premji pieniężnych na łączną sumę 1.150 zł. Zarząd uprasza wszystkich członków o bezzwłoczne występowanie z dokładnie umotywowanemi wnioskami w znanych im i zasługujących na wyróżnienie wypadkach — na udzielenie premji osobom, które w 1930 r. zasłużyły się w tępieniu kłusownictwa czy wnykarstwa.

2. Zw. Stow. Łowieckich urządza corocznie, a w bieżącym roku od 2—10 maja w Warszawie pokaz i konkurs trofeów łowieckich (vide „Łowiec Polski" z 31. I. 1931) dla zobrazowania gospodarki łowieckiej w każdem województwie. Zarząd jaknajusilniej zachęca członków do obesłania tego pokazu, przyczem zaznacza się, że termin dla zgłoszeń eksponatów upływa z dniem 31 marca.

3. Uchwalono zaprojektować Związkowi w Warszawie mianowanie zgodnie z § 31 Statutu delegatem wojewódzkim inż. Wacława Paczkowskiego Katowice, Słowackiego 15, zaś delegatami powiatowymi na powiat:

Rybnik: Dr. Alojzy Pawelec, senator, Wodzisław, Władysław Malinowski, budowniczy, Rybnik, inż. Antoni Rowiński, Knurów, Dyr. Kop. Skarb., Antoni Grzesik, Budowniczy, Rybnik.

Pszczyna: Dr. Paweł Koždoń, Żwaków p. Tychy, Dr. Teodor Obremba, Lekarz, Mysłowice.

Katowice: Romuald Mędlewski, Dąbrówka Mała, Młyńska 8, Franciszek Herde, Aptekarz, Siemianowice.

Tarn. Góry: Adolf Grzyb, Nadleśniczy, Ostrożnica p. Świerklaniec, Dr. Józef Potyka, Dyrektor Sp. Br., Tarnowskie Góry.

Lubieniec: Dr. Franciszek Willert, Lubieniec, Lekarz powiatowy, Ryszard Berdt, Nadleśniczy, Koszęcin.

Świętochłowice: Inż. Jerzy Vogt, Łagiewniki, kop. Wyzwolenie.

4. Obecny skład Zarządu Śl. Tow. Łowieckiego jest następujący: Prezes inż. Wacław Paczkowski, Katowice, Słowackiego 15 (tel. 211 Wojew.); sekretarz inż. Dr. Jan Podgórny, Katowice, Okr. Zw. Ziemski (tel. 648); wice prezes Stanisław Cenkier, Rybnik, wice prezes nadinspektor Walter Mehner, Koszęcin; zastępca sekret. inż. Antoni Rowiński, Knurów, Dyr. Kop. Skarbowych; skarbnik Franciszek Grzonka, Katowice, Zbaraska 16 (tel. 2759); łowczy: Dr. Franciszek Willert, Lubliniec, Klaus Hegenscheidt, właśc. dóbr, Ornontowice, Jerzy Gottweld, Załęże-Katowice.

5. Sekretarjat stara się pilnie o utrzymanie dobrej i dokładnej ewidencji adresów członków Towarzystwa. Mimo to poważną ilość korespondencji zwraca poczta jako niedoręczalną, Zarząd prosi przeto członków, aby we własnym interesie skontrolowali w Towarzystwie dokładność swych adresów i aby o każdej zmianie zaraz donosili. To samo obowiązuje w razie wystąpienia z Towarzystwa, przesiedlenia się i t. p.

6. Zgodnie z uchwałami z 28/V. 1930 i 28/II. 1931 r. Zarząd poleca ponownie (vide p. 2 Komunikatu L. 108 z 1/VI. 1930 r.) Delegatom wymienionym w p. 4 przystąpić bezzwłocznie do zakładania kół prowincjonalnych Śl. Tow. Łowieckiego. Główne zasady: Członkowie kół są członkami Towarzystwa, koła rządzą się odpowiednio zmodyfikowanym Statutem Towarzystwa, do którego wpłacają 50% swych wpływów z wpisowego i wkładek. Stosownie do swej liczebności mają udział w Zarządzie Towarzystwa. Zarząd prosi Delegatów o przygotowanie sprawozdania z tej akcji na Walne Zebranie, na którem będą bliższe szczegóły omówione i przedyskutowane.

7. Zawiadamia się, że członek Tow. Dr. Jan Hlond, Katowice, Piłsudskiego 6, posiada na sprzedaż bażanty w cenie ca. 13 zł za sztukę.

8. Największą troską dla Zarządu staje się obecnie konieczność ożywienia organizacyjnego życia w Towarzystwie. Zarząd z uznaniem stwierdza, że wprawdzie ogromna większość członków wkładki prawidłowo uiszcza, ale zbyt dużo jest wśród nas członków biernych, którzy jako członkowie wyłącznie tylko „deklaracyjni" — na życie Towarzystwa absolutnie nic nie oddziaływują, pozostając z niem w bardzo luźnym stosunku i nie czerpiąc z jego istnienia żadnych, choćby ideowych czy duchowych korzyści. Członkowie ci wzajemnie między sobą i z nami się nie znają, na Zebrania się nie jawią, nigdy z żadnymi wnioskami, dezyderatami nie występują. Zarząd jest pewny, że nie świadczy to o braku zainteresowania sprawami łowiectwa, lecz jest chwilowem zaniedbaniem lub zbiegiem okoliczności.

Dr. Jan Podgórny
Sekretarz

Inż. Wacław Paczkowski
Prezes

Z Międzynarodowej Rady Łowiectwa w Paryżu

Sekretarjat Międzynarodowej Rady Łowiectwa w Paryżu, zawiadamia, że posiedzenia Międzynarodowej Rady Łowiectwa (Conseil International de la Chasse) odbędzie się w Paryżu w dniach od 30 maja do 3 czerwca b. r. pod przewodnictwem Ministerstwa Rolnictwa. Delegaci 31 narodów będą uczystniczyli w tem zebraniu. Przez członków Rady poruszone będą bardzo interesujące wnioski w sprawie łowiectwa. W związku ze zjazdem Delegatów C. I. C. ku uczczeniu tak wysokich osobistości odbędą się przyjęcia towarzyskie, i zorganizowane też będą wycieczki.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16